

Vis



To było piękno w najczystszej postaci. Arcydzieło łączące w sobie szlachetną prostotę i śmiało eleganckie linie. Urzeczywistnienie wizji genialnego projektanta, inżynierskie cacko. Cud techniki. Absolutna perfekcja. Najnowocześniejsza i najbardziej niezawodna broń krótka świata. Duma polskiego przemysłu zbrojeniowego. Ideał. Pistolet Vis. Taki sam miał ojciec.

Stefanowi wystarczył jeden rzut oka, by go rozpoznać w zawiniątku wciśniętym mu pospiesznie przez Kamilę.

– Zanieś to do Aktorek na Mazowiecką. Powiedz, że dla Ariadny. Błagam – wyrzuciła z siebie zdyszczym głosem, odwróciła się nerwowo i ruszyła szybkim krokiem w stronę przejścia na sąsiednie podwórko. – Nie zatrzymuj się. Idź! – ponagliła go jeszcze, nim zniknęła za rogiem odrapanej kamienicy.

Odruchowo schował broń pod marynarkę. Gdy wciskał ją za pasek, lufa wysunęła się ze szmatki. Poczul na skórze jej zimny dotyk. Ten chłód go otrzeźwił. Zdążył zrobić ledwie kilka kroków w stronę ulicy, gdy podbiegł do niego wychodzący z oficyny dozorca kamienicy, Walendziak. Niech to szlag! Widział? Nie widział? Cholerna gówniara. W co ona mnie pakuje?

– Uważaj na kobiety – zagadnął go Walendziak z głupekowatym uśmiechem, który tylko z rzadka znikał z jego twarzy. – To diabły.

Jasny gwint! Widział. Musiał widzieć. Stefan odwzajemnił porozumiewawcze spojrzenie dozorca, zrobił jakiś niedookreślony gest – ni to potakujący, ni to bezradny – i poszedł dalej.

– Kierowniku, poratuj. Daj piątaczka dla warszawiaczka – przeszedł do sedna sprawy Walendziak, drepcząc u jego boku.

A więc o to chodziło. W porządku. Znaczy, nie widział. Chyba.

– Nie mam nic. Pusto – odparł Stefan, wkładając w głos, ile tylko zdołał zrozumienia i współczucia dla ciężkiej doli stróża niemającego za co kupić paru kropli gorzalki w ten chłodny wiosenny ranek piątego roku okupacji.

Dozorca nie wyglądał na rozczarowanego. A tym bardziej zaskoczonego. Od dłuższego czasu nie zdarzyło się, by Stefan lub jego matka dali mu cokolwiek. Nie to co zaraz po przeprowadzce.

Wychodząc z podwórka na Żytnią, prawie wpadł na dwóch spieszących w przeciwną stronę mężczyzn. Poczłł lodowatą kulę strachu. Tajniacy. Już po nim.

W kotłowaniu rozpaczliwych myśli, które przemknęły mu w tej chwili przez głowę, jedna go rozbawiła. Czy oni wszyscy ubierają się w tym samym sklepie? Albo mają wspólnego krawca? Płaszcz, kapelusze – równie dobrze mogliby nosić mundury. A może to wcale nie strój sprawiał, że każdy warszawiak bezbłędnie odróżniał tajnych agentów od reszty przechodniów? Może tajemnica kryła się w twarzach? W butnych minach panów życia i śmierci? W sposobie chodzenia? W chytrym wzroku drapieznika szykującego się do ataku na kolejną ofiarę – kogo by tu?

Wyćwiczonym ruchem, powtarzanym w setkach podobnych sytuacji, szpicel wyciągnął rękę, by złapać Stefana za ramię. Z pewnym zdziwieniem chłopak zauważył, że we wpatrujących się w niego oczach nie było – jak się spodziewał – żądzy mordu ani wściekłości. Zasnuwała je tylko jakaś mgła, spod której przebijała mroczna pustka. Zadrżał.



– Zostaw go, bo tamta ucieknie – burknął po niemiecku drugi z tajniaków i nerwowo potruchtał w głąb podwórka. Po ułamku sekundy, który wydał się Stefanowi wiecznością, jego kompan pospieszył za nim. Stefanowi zakręciło się w głowie jak po długim nurkowaniu.

Szczęściarz. Po prostu szczęściarz. Oto ten, któremu wszystko się udaje! Stefan Zawadzki – król farciarzy! Człowiek, którego przebudzenie w piekle komentuje się trwożnym szeptem: „Oho, uwaga, ferajna! Wstał!”. Nic dziwnego, że warszawskie kasyno oficerskie umieszczono w dzielnicy niemieckiej, inaczej dawno poszłoby z torbami.

Stefan uśmiechnął się do swoich myśli i przebiegł przez pustą ulicę na chodnik pod murem cmentarza ewangelickiego. Tu przystanął i tanecznym ruchem podpatrzonym w kinie u Charliego Chaplina obrócił się na pięcie, po czym spojrzał prosto w widoczne w głębi podwórza okno na pierwszym piętrze. Byli tam. Jak zawsze rano. Mama i Jaś. Czekali na przedstawienie.

Panie i panowie! Nadeszła wreszcie ta chwila. Czas na spektakl! Oto przed państwem przybyły prosto ze słonecznego Hollywood – gdzie ananasy plewią się na trawnikach jak chwasty, a cytryny i pomarańcze są większe od arbuzów – Charlieeeeeee! Chaplin!

Stefan zrobił śmieszny minę i zaczął stepować – co jakiś czas podpierając się na niby niewidzialną laseczką, kręcąc nią i wymachując na boki.

To był ich codzienny rytuał. Ani śnieg, ani deszcz, ani upał, ani mróz, grad czy wichura nie mogły go zakłócić. Zimą, gdy Stefan wychodził do pracy przed wschodem słońca, tańczył pod cmentarnym murem, trzymając w ręku blaszaną latarkę Elektrodynu. Baterie zdobywał na Kercelaku, a gdy ten podupadł po łapankach i sowieckich bombardowaniach z jesieni 1942 roku, na Bazarze Janasza, pod Hałami Mirowskimi, a nawet na placu Szembeka za cukierki i czekoladki wynoszone pod podszewką kurtki z fabryki Wedla, gdzie pracował.

To był ich codzienny rytuał. Hanna Zawadzka uwielbiała go chyba nawet bardziej niż jej młodszy syn, sześciolatek Jaś. Miała wrażenie, jakby te nieco niezdarne wygłupy Stefka na tle cmentarnego muru stanowiły coś w rodzaju szamańskiego tańca odganiającego od ich trójki całe zło. Nigdy nie była przesądna i sama sobie powtarzała, że to śmieszne, a jednak tak właśnie czuła. Po śmierci męża, zabitego wczesną wiosną 1940 roku na Pawiaku, jedyne, czego jeszcze się bała, to nadejścia tego dnia, gdy Stefek, wychodząc z domu, nie odwróci się naprzeciw kuchennego okna i nie zatańczy dla niej i dla Jasia niczym Charlie Chaplin. Ale ten dzień nigdy nie nadejdzie. Zresztą wojna już wkrótce się skończy, a po wojnie żadne zaklęcia nie będą potrzebne. Przetrwali już tyle. Wytrzymają jeszcze te kilka miesięcy. A potem... Wszystko się wreszcie ułoży. Stefek wróci do szkoły. Zdolny jest, szybko nadgoni te kilka lat. Jaś pójdzie do pierwszej klasy, a ona... Ona znowu będzie grać. Przecież tego się nie zapomina.

Desdemona, Fedra, Antyгона, Ofelia, a niechby i jedna z makbetowskich wiedźm. I niech ten durny Jucewicz znów o niej pisze, co tylko mu jadowita ślina na język przyniesie. Co ten zakurzony gryzpiórek wie o teatrze? O tych chwilach za kulisami, gdy słyhać rosnący powoli gwar na widowni, najpierw ledwie słyszalny szum, potem pierwsze skrzypnięcia i trzaski foteli, coraz

głośniejsze rozmowy, szurania, wreszcie pierwszy dzwonek, potem drugi... No i rzecz jasna film. Przede wszystkim film. Tak...

Otrząsnęła się z zamyślenia. Z każdym dniem przychodziło jej to coraz trudniej. Jaś bazgrał coś ołówkiem na kartce, siedząc przy kuchennym stole.

- Chodź synku, poczytamy troszeczkę.
- *Robinsona* czy *Tajemniczą wyspę*?
- A może dzisiaj *Przygody Sindbada* dla odmiany?

Po zakończonym występie dla matki i Jasia Stefan ruszył, jak zwykle, w stronę przystanku tramwajowego na Okopowej. Miał tu ósemkę lub dziesiątkę pod Dworzec Główny u zbiegu Marszałkowskiej i Alej Jerozolimskich, skąd dwadzieścia cztery lub dwadzieścia pięć wiozło go na Kamionek do Wedła. Dworzec Główny – uwielbiał ten budynek. Mógłby przed nim stać bez końca, podziwiając grę światła i cieni na jego fasadzie i elewacji od strony Alej. To była mistrzowska architektura – nowoczesna, śmiała, prosta, proporcjonalna. Bez idiotycznych ozdóbek i zbędnych detali. Arcydzieło. Jak lukstorpada. Jak co piękniejsze wille projektowane przez Pniewskiego lub Korngolda na Mokotowie i Żoliborzu. Jak kamienica Wedła na Puławskiej, w której zamieszkali dwa lata przed wybuchem wojny. Jak strzelisty gmach Prudentialu. Jak vis.

Stefan szybko zawrócił w stronę Młynarskiej. Z pistoletem pod marynarką lepiej nie pojawiać się pod Dworcem Głównym, gdzie roi się od żołnierzy na przepustkach i dbających o ich bezpieczeństwo patroli policji, żandarmerii i Bóg jeden wie, ilu innych mundurowych i tajniaków. Swoją drogą chyba tylko pedantyczny do szaleństwa niemiecki umysł mógł wpaść na to, by do ścigania każdego rodzaju prawdziwych i domniemyanych przestępstw powołać odrębną służbę i każdej dać inny strój. Czasem Stefan miał wrażenie, że Niemcy urządzili na ulicach Warszawy największy na świecie pokaz mody militarnej. Kripo, schipo, orpo, schupo, gestapo, banszuce, werkszuce, selbstszuce, grenszuce i bezlik innych. Do tego stroje Wehrmachtu, Luftwaffe,



SA, SD, Hilfspolizei, Hitlerjugend, czarne skórzane płaszcze gestapowców i najelegantsze ze wszystkich, świetnie skrojone uniformy SS.

Codzienna trasa na Kamionek odpadała z jeszcze jednego powodu. Przebiegała przez most Poniatowskiego, a tam często urządzano łapanki. Skądinąd był to bardzo sensowny wybór. Raz, że z mostu trudno uciec, chyba że do Wisły, płytkiej w tym miejscu na tyle, iż skok dawał gwarancję co najmniej połamania nóg lub kręgosłupa. Dwa, że blisko stąd było na Skaryszewską, gdzie zwożono wszystkich wysyłanych na roboty do Niemiec lub do obozu. A przecież w wojenny czas paliwo jest na wagę złota – jak pisali w gadzinowym „Nowym Kurierze Warszawskim” zwanym też kurwarem.

Z Młynarskiej do Wedla Stefan miał dwadzieścia dwa i ewentualnie jedynekę, z której mógł się przesiąść przy Lesznie. W gruncie rzeczy była to logiczniejsza trasa. Krótsza i pod samą bramę fabryki. Ale nie lubił jej. Najpierw bardzo długo jechało się wzdłuż wysokiego muru getta, a raczej tego, co z niego zostało. Potem tramwaj skręcał w Bielańską – pretensjonalną jak prowincjonalna

podróbka Paryża i kiczowatą niczym bibeloty w drobnomieszczkańskim salonie – przemycił obok zbombardowanego na początku wojny Teatru Wielkiego, mijął pokiereszowany w tym samym czasie Zamek Królewski, by wreszcie Nowym Zjazdem wpełznąć na most Kierbedzia, długi, ponury, zbudowany bez żadnej finezji z ciężkich stalowych kratownic i był jak przerzucony przez rzekę – jak kładka z deski nad kałużą po drodze do wychodka.

I jeszcze ten przejazd przez Pragę. Zapyziałe miasteczko wykrojone z ziemi gdzieś daleko na rosyjskiej prowincji i nie wiedzieć po co wrzucone na wschodni brzeg Wisły. Dopiero nowa dzielnica fabryczna na Kamionku jakoś wyglądała – Wedel, Geber, Perkun, Perun, Rygawar, zakłady telefoniczne, optyczne, mechaniczne i zbrojeniowe. Prawdziwe serce miasta. Królestwo funkcjonalności, praktycznego myślenia, inżynierskiego rozsądku i kątów prostych w architekturze.

Wskakując przy Młynarskiej na zderzak ruszającego tramwaju, Stefan czuł podniecenie i strach. Strach i podniecenie. Na przemian i naraz. Nerwowe drżenie mięśni. Strużka potu między łopatkami. Suchość w ustach. Płytki oddech. Panika. Paraliżujące przerażenie.

Ale też ekscytacja. Jak przed startem do biegu. Jak przed skokiem z dziesięciometrowej wieży na basenie Legii. Jak podczas wspinaczki z ojcem na Zamarłej Turni.

Jak podczas lotu nad Warszawą w warczącym i trzęsącym się PZL Ł.2. Tylko jego ojciec mógł wymyślić taki prezent na dwunaste urodziny syna. Po wylądowaniu Stefan milczał aż do wieczora. Aż ojciec się zaniepokoił. „Co? Nie podobało ci się?” – spytał. „Tato. To było. To było – nie mógł znaleźć właściwego słowa – wstrząsające” – powiedział w końcu, od razu czując, że to zbyt słabe określenie tego doświadczenia. Ojciec patrzył na niego roześmianymi oczyma. Bez słowa położył mu rękę na ramieniu. Wszystko rozumiał.

Major Ignacy Zawadzki. Wykładowca Wyższej Szkoły Wojennej i Politechniki Warszawskiej. Uzdolniony inżynier, ceniony konstruktor. Pilot amator.

Posel na sejm pierwszej kadencji. Wiceprezes automobilklubu. Taternik. Żeglarz. Fanatyk nowoczesności we wszystkich jej przejawach.

Tatuś.

Myśl o ojcu sprawiła, że Stefan omal się nie rozplakał.

Vis ciążył mu niczym ołowiany odważnik. Stefan miał wrażenie, że przy byle ruchu wyleci mu spod marynarki na ulicę albo wpadnie w spodnie, by wysunąć się nogawką. Gładki metal lufy to parzył go w podbrzusze, to mroził. Wydawało mu się, że wszyscy na niego patrzą. Nie wiedział, jak się ustawić, by nikogo spośród wiszących jak winogrono pasażerów tylnej platformy tramwaju nie dotknąć ukrytym pistoletem.

Minęła wieczność, nim tramwaj dojechał do Leszna.

Jeden przystanek, a czekało go jeszcze ponad dwadzieścia.

– „Nazywam się Sindbad. Mieszkam stale w Bagdadzie. Rodzice moi, umierając, zostawili mi w spadku tysiąc worów złota, tysiąc beczek srebra, sto



pałaców, sto ogrodów i jeden trzonowy ząb mego pradiadka, który ojciec mój przechowywał w hebanowej szkatułce, jako pamiątkę i osobliwość. Pradziadek mój przez całe życie chorował na ból zębów i co pewien czas inny ząb musiał wyrwać, tak że w końcu jeden mu tylko ząb trzonowy pozostał. Umierając, kazał sobie wyrwać i ten ostatni ząb trzonowy, który przeszedł w spadku od mego dziada do mego ojca, a od ojca – do mnie. Był to zwyczajny, zepsuty i szerniały ząb. Jestem pewien, że na świecie znaleźć można bardzo wiele tak samo zepsutych i szerniałych zębów, lecz nie każdy z nich trafia do hebanowej szkatułki, aby stanowić pamiątkę i osobliwość. Ten – trafił. Nieraz, przyglądając mu się z ciekawością i szacunkiem, wyobrażałem sobie, jak ten ząb bolał niegdyś mego pradiada!”¹.

– A mi się ząb rusza! – radosny okrzyk Jasia sprawił, że matka przerwała czytanie.

– Pokaż. No, fakt. Może wyrwiemy?

– Nie, nie. Lepiej jak tata wróci wieczorem.

– Słucham? Co ty mówisz?

– Chciałem powiedzieć Stefek. Jak Stefek wróci. Albo jutro. Zresztą nic a nic nie boli. Może sam wypadnie. I wtedy schowamy do szkatułki. Mamusiu, czy my mamy w domu jakąś szkatułkę? Nie musi być hawanowa, bo i tak nie wiem, co to znaczy.

Wisielców było dziesięciu. Trzech pokazywało ulicy plecy, dwóch wpatrywało się w pasażerów tramwaju wybałuszonymi oczyma, reszta wyglądała na pogrążonych we śnie, gdyby nie sinoszary kolor twarzy i przechylone pod nienaturalnym kątem głowy.

Sznury, na których wisieli, przywiązano do słupków żeliwnej barierki balkonu na drugim piętrze zniszczonej kamienicy przy Lesznie. To była jedna z głównych arterii komunikacyjnych stolicy – tysiące jadących do pracy warszawiaków miało zobaczyć, co może ich spotkać, jeśli nie pogodzą się potulnie

ze swoją pozycją podludzi. Dołem przechadzał się znużony niemiecki żołnierz pilnujący, by nikt nie robił zamordowanym zdjęć ani nie próbował ich odciąć.

Stefan nie mógł oderwać od nich wzroku. Dlaczego są boszi? Czyżby z Niemcami było już tak źle, że muszą kraść obuwie i skarpety ofiarom egzekucji? Ciekawe co z nimi potem robią, kołatało mu się po głowie. Szeregowy Hans Müller! Oto wasze nowe buty. A skarpety zacerujecie sobie w pociągu na front wschodni.

Gdy wreszcie zdołał odpędzić tę uporczywą myśl, zaczął się z kolei zastanawiać, jakim rodzajem węzła przywiązano stryczki do balustrady. Najlepsza byłaby wyblinka, dwa ruchy i gotowe. Podwójna ósemka zbyt kłopotliwa, na dodatek zaciska się mocno pod ciężarem, przez co trudno byłoby potem odzyskać sznur – a Niemcy to przecież oszczędny naród. Skrajny tatrzański? Ciekawe, czy Niemcy znają ten węzeł. Ale i tak wyblinka chyba najlepsza. Chociaż za luźno zawiązana może trochę popuścić przy nagłym szarpnięciu. To by tłumaczyło, dlaczego niektóre ciała wisiały nieco niżej.

Jak to się właściwie odbyło? Kazali im siadać na balustradzie balkonu z nogami zwisającymi na zewnątrz i po założeniu pętli spychali? Czy raczej ustawili ich na parapetach okien piętro niżej? Nie, raczej nie. Za dużo bałaganu: liny na górze, skazańcy na dole, latanie po schodach w tę i we w tę. Więc raczej balustrada. Dla powieszonych też lepiej – szybszy koniec. Trzy, może cztery metry lotu i łamiące kark szarpnięcie. Lepsze to niż śmierć przez uduszenie. No dobrze, ale spychali ich pojedynczo czy naraz? Logiczniej byłoby pojedynczo. Żeby sznury się nie poplątały. Od lewej czy od prawej? A ten ostatni w szeregu? O czym myślał, czekając na swoją kolej? Przyglądał się, jak jedna osoba po drugiej leci w dół, by zakotłosać się ciężko na sznurze, czy odwrócił głowę? A może patrzył prosto przed siebie na przejeżdżający tramwaj? Albo po prostu zamknął oczy?

Chyba nie mam serca, żeby zajmować się takimi bzdurami w obliczu śmierci – skarcił się w myślach. Chociaż... może już nikt z nas go nie ma. Rozejrzał



WIERZBNO

43

WH
90269

KAWA

SKAD. MEBL.



się. Tylko dwie młode kobiety zasłaniały oczy dzieciom, reszta pasażerów obojętnie kontemplowała przestrzeń.

Gdy tramwaj oddalił się o dwie przecznicę od miejsca kaźni, Stefan ostatni raz zerknął za siebie. Z daleka przechylone głowy wisielców przypominały rozrzucone na pięciolinii nuty – zapis jakiejś upiornej melodii.

W miarę jazdy w Stefanie narastał coraz większy niepokój. Całe jego ciało opanowało dziwne drzenie, które wędrowało od czubków palców przez ramiona aż do serca i brzucha. Nie chodziło o pistolet. Nawet nie o widok wisielców przy Lesznie, który raz po raz stawał mu przed oczyma. A więc o co właściwie? Nie wiedział. Nerwowo sięgnął do wewnętrznej kieszeni marynarki – kenkarta i ausweis były na swoim miejscu. Coś mnie rozbiera, jakaś grypa czy co – pomyślał, czując, jak tępy ból niby bezlitosne imadło ściska jego skronie.

Minąwszy Rymarską i Przejazd, tramwaj zatrzymał się na przystanku przed jakimś placem wielkości boiska piłkarskiego. Pokrywały go niestarannie wyrównane hałdy pokruszonych cegieł, więc przy byle powiewie wiatru wznosiły się chmury gęstego rudoszarego pyłu. Stefan zastanawiał się, gdzie właściwie jest. Dopiero gdy tramwaj ruszył i po chwili skręcił w Bielańską, dotarło do niego, że minął Tłomackie, a nad tajemniczym placem jeszcze rok wcześniej górowała monumentalna Wielka Synagoga. Stefan nigdy nie lubił tego napuszonego ni to klasycystycznego, ni to neorenesansowego gmaszyska, jednak jego zniknięcie ze znajomego pejzażu wywołało w nim dziwne uczucie straty.

Jak po usunięciu bolącego zęba – pomyślał, a jego język odruchowo powędrował do wyrwy po górnej prawej szóstce. Aż się wzdygnął na wspomnienie wizyty u Jabłońskiego wiosną ubiegłego roku. Cóż to była za bolesna i krwawa jatka. Ząb – zepsuty zapewne od nadmiaru słodczy, z których, od czasu gdy zdobył pracę w Wedlu, w znacznej mierze składała się ich codzienna dieta – rozsypał się przy pierwszej próbie wyrwania. Przez następną godzinę dentysta

pochylony nad Stefanem niczym Nosferatu nad swą ofiarą – klnąc na czym świat stoi i dysząc mu prosto w twarz śmierdzącym nieprzetrawionym alkoholem i żółcią – wrywał na żywca kolejne kawałki spróchniałego trzonowca oraz jego solidnie siedzącego korzenia. Gdy z opuchniętą jak bania, trupioblada twarzą Stefan wrócił chwiejnym krokiem do domu, matka kazała mu wypić duszkiem szklankę wódki, a potem zaprowadziła do łóżka, przytuliła, okryła starannie kołdrą i ukołysała do snu jak małe dziecko. „Mój ty bohaterze. Mój ty mały, dzielny mężczyzno” – powtarzała, a on, zapadając się w miękką i ciepłą otchłań snu, myślał o tym, jak bardzo jest mu w tej chwili dobrze mimo pulsującego w głowie bólu. Jak przez mgłę słyszał jeszcze kołysankę i dobiegające od strony getta coraz cichsze wystrzały.

(...)